

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Powódź.

POWÓDŹ.

W Ameryce zwrotnikowej pora deszczów straszliwe sprowadza powódzie. Ogromne rzeki rozlewają wówczas tak szeroko, że pokrywają rozległe przestrzenie, łąki nikną pod wodą, a w lasach tylko najwyższe wierzchołki drzew wychylają się z tej toni. Zwierzęta lądowe, zaskoczone nagle powodzią, chronią się i ratują, jak mogą, a często giną całemi gromadami. Rycina nasza przedstawia dwoje zwierząt, które wspólne niebezpieczeństwo zbliżyło do siebie, chociaż w zwykłych okolicznościach nie żyją z sobą w wielkiej przyjaźni. Jaguar siedzi spokojniuteńko na dużej kłodzie, unoszącej się na falach, patrzy w dal, czy nie obaczy gdzie suchego gruntu, ani myśli napadać węża, który także nie ma ochoty rzucać się na niego.

KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.

przez starego nauczyciela.

(dalszy ciąg).

VI.

Król był obrany, lecz, według ustaw obowiązujących w Rzeczypospolitej, panowanie jego rzeczywiste rozpocząć się miało dopiero po koronacji, pragnął też cały naród, aby uroczystość ta odbyła się jaknajspieszniej, wyznaczono na to dzień Ś-go Jana. Ale Sobieskiemu pilniej było gromić Turka, niż koronę wkładać na czoło, wolał miecz dźwigać niż berło; odłożona więc była koronacja z jego woli, a nakazane przygotowania do wojny. „Wiem, poco jestem obrany”, mówił do przyjaciół, którzy go chcieli odwrócić od tego postanowienia.

I teraz jeszcze uparci wichrzyciele, podżegani szczególnie przez królową wdowę Eleonorę, nie mogąc nowo obranego monarchy nie dopuścić do tronu, próbowali przynajmniej władzę jego ograniczyć i chcieli dla niego zmienić *pacta conventa*, obowiązujące królów poprzednich. Domagali się na przykład, aby mu odjęto prawo wypowiadania wojny i zawierania pokoju, zaciągania wojska i stawiania na jego czele. Sobieski odrzekł na to z godnością, iż gotów dziś jeszcze rzec się korony, jeśli nie zasłużył na zaufanie rodaków.

Głosy zawistnych zagłuszone wkońcu zostały, zamiast krępować ręce jedynego obrońcy kraju, sejm postanowił uczynić wyjątek dla niego i nie czekając na koronację, nadać mu zaraz wszystkie prawa, przysługujące panującemu królowi. Wszyscy monarchowie europejscy, a zwłaszcza papież i król francuzki, szczerze winszowali Polakom tak szczęśliwego wyboru. Gazety ówczesne francuzkie przepełnione są pochwałami dla Sobieskiego, wysławiają wielki jego geniusz wojenny i niepospolite przymioty. Historycy francuzcy utrzymywali nawet, iż poseł króla Ludwika XIV w Warszawie, biskup marsylski Forbin-Janson, przyczynił się znakomicie do obioru Sobieskiego. Jeden tylko cesarz austriacki był niezadowolony, że tron wymknął się jego siostrze, Eleonorze. Dzień Ś-go Jana obchodzono uroczystie w Warszawie, posłowie zagraniczni składali nowemu monarsze powinszowania, nawet posłaniec hana tatarskiego przybył czołem przed nim uderzyć i upewnić, że pan jego skłaniać będzie sułtana do zgody z bohaterem królem polskim, a Jan Sobieski, ku podziwieniu wszystkich obecnych, odpowiadał każdemu w jego mowie, przemawiając z kolei po francuzku, po niemiecku, po angielsku, po włosku i po turcku.

Jak tylko nowy król zaprzysiągł *pacta conventa* i otrzymał dyplom elekcji, natychmiast chwycił w ręce buławę hetmańską, której jeszcze nie złożył był dla berła, i pośpieszył na Ukrainę, gdzie bisurmanie gospodarowali po swojemu. Ogromna armia turecka gotowała się znowu na zawojowanie Polski, sam sułtan prowadził do boju najdzielniejszych swoich janczarów. Strwożone załogi Chocima i innych zameczków obronnych poddały się bez wielkiego oporu przemagającej sile, pochód Turków rozpoczął się tryumfalnie. Nie uląkł się jednak Sobieski, a nawet wzrokiem geniuszu spostrzegł odrazu słabe strony tego wojennego planu, uważał to za wielkie szczęście dla Polski, że sułtan nie zwrócił głównych sił swoich na Lwów i Kraków, z dobrą więc otuchą wyruszył na Ukrainę.

W rzeczy samej z przybyciem Sobieskiego zmieniła się prędko postać rzeczy, chociaż wojsko

jego w porównaniu do niezliczonych zastępów bisurmańskich było tylko małą garstką. Na nie-
szczęście królowie polscy nie mogli się tak łatwo i szybko rozporządzać w kraju, jak samowładni mocarze tureccy; zgromadzenie zbrojnego ludu wymagało długich przygotowań, zależało od woli całego narodu, a i funduszów na to nie było pod ręką, musiano także gromadzić je powoli za zgodą sejmu. Wszak widzieliśmy, jak to nieraz Sobieski, nie będąc jeszcze królem, z własnej ską-
tuli wystawiał chorągwie, a na żołd żołnierzy i inne wydatki, niezbędne przy prowadzeniu wojny, zastawiał dobra, srebra i klejnoty rodzinne. Tém więcćj podziwiać należy jego geniusz, że zawsze tysiącznemi przeszkodami skrępowany, pozbawiony dostatecznych środków, umiał jednak pokonywać na każdym kroku tak potężnych nieprzyjaciół.

Król Jan wyruszył w Lipcu z Warszawy, nie śpieszył się jednak zbyt z rozpoczęciem bo-
jów, czekał jesieni, gdyż wiedział, że zima najlepszym była już nieraz sprzymierzeńcem Polaków w wojnie z Turkami, mieszkańcami cieplejszego klimatu. Na samą wieść o zbliżeniu dzielnego lwa Lechistanu, pohańcy struchleli, opuściła ich odwaga i pewność siebie, tém bardziej, że Tatarzy tym razem niezbyt chętnie im pomagali i zrabowawszy bezbronne ziemie ukraińskie, cofnęli się do Krymu. Z drugiej strony znów Rosya zagrażała Turkom, skłaniając się do przymierza z Sobieskim, a Persowie najeżdżali posiadłości ich azyatyckie. Gdy więc król polski nadciągnął, armia sułtana zaczęła pierzchać, opuszczając zajmowane stanowiska, kilka pomyślnych potyczek do reszty ją odurzyło; z nastaniem mrozów, już te nieprzeliczone zastępy, które zamierzały zalać całą Polskę, i zatknąć chorągiew Mahometa aż nad morzem Bałtyckiem, uchodziły w popłochu za Dunaj. Jak huragan przebiegał zwycięzca stępy ukraińskie, gromił w dziesięćkroć liczniejsze od swoich nieprzyjacielskie oddziały, odbierał zamki warowne, Bar, Mohylów, Bracław i wiele innych, Kozaków zmusił do poddania. Wówczas to, dnia pewnego, znużony całodzienną pogonią za uciekającym nieprzyjacielem, spoczął bohater o wieczornym mroku na mogile, oczekując zebrania się chorągwi, gdy przystąpił doń Jabłonowski i rzekł: „Bóg z tobą, najjaśniejszy Panie! pomściłeś wspa-
niale brata swojego. Spoczywasz na mogile, w której pościnanych jeńców znacznych pod Batowem pogrzebiono. To samo miejsce krwią pohańców oblałeś, które leżący tu brat twój Marek krwią oblał własną“.

I teraz jednak, odegnawszy raz jeszcze wroga, nie kwapił się Sobieski po koronę do Krakowa, lecz postanowił pozostać na zimowych leżach

wśród stepów ukraińskich, aby wojsko przykładem swoim zatrzymać na stanowisku. Hetmanowi litewskiemu Pacowi wyznaczył Bar, miejsce najdogodniejsze, sam stanął obozem pod Bracławiem, gdzie i ludziom i koniom trudno było o żywność i jaką taką wygodę. Daremnie królowa Marya Kazimiera, niecierpliwie wyglądająca koronacji, nagliła go do powrotu, nie dał się zachwiać w postanowieniu. Pragnął bowiem Sobieski skorzystać z popłochu muzułmanów, zadać im cios stanowczy i odebrać Kamieniec. Niestety! Niesforność rodaków, zawiść niczém niepokonana, zawsze niweczyły najświetniejsze zamysły bohatera. Wszystko już było w pogotowiu do oblężenia Kamieńca wśród mrozów zimowych, gdy nagle Pac podburzył najpierw litewskie chorągwie i wyruszył z nimi z powrotem do kraju, a potem i koronne pospolite ruszenie uparło się pójść za tym przykładem.

Król, do żywego dotknięty tak straszném odstępstwem, wydał uniwersał (tak nazywano listy otwarte króla do narodu) oznajmiając, iż sam odpędza od boku swego wojsko, niezdatne do obrony ojczyzny. Oburzenie powszechne skłoniło do opamiętania niesforne rycerstwo, a nawet złamało upór samego Paca, który się upokorzył, prosił króla o przebaczenie i błagał, aby mu pozwolił powrócić. Sobieski przebaczył, lecz czas stracony pośród tych zatargów powetować się już nie dał, trzeba było się wyrzec oblężenia Kamieńca, a Turcy, przekonawszy się, że Polacy nie są zdolni do wytrwałości i zgody, znowu zaczęli podnosić głowy. Zima upłynęła na drobnych potyczkach z nieprzyjacielem, na niezgodzie wewnętrznej, poczęto intrygować znowu i oskarżać króla, iż niepotrzebnie trzyma wojska na bezludnych stepach, nie dostarczano mu ani pieniędzy, ani żywności.

Wytrwał jednak Sobieski na stanowisku, a na wiosnę, gdy potężna armia turecka zalała kraj na nowo, kierując się przeważnie tym razem na Ruś Czerwoną, on pomknął aż do Lwowa, sprowadził tam żonę i dzieci, i z wojskiem, wynoszącym za ledwie 30,000, nie zawahał się stawić czoła tym hordom barbarzyńskim, które na 200,000 obliczano. Postanowił zwyciężyć lub zginąć. Zastrzegł sobie król, aby na przyjęcie jego we Lwowie żadnych nie czyniono przygotowań, nie był to czas po temu; gdy jednak doszły do uszu jego wieści, jakoby seraskier Ibrahim Pasza, głównodowodzący armią turecką, przechwalał się przed sułtanem, iż byłby już zgniotł ostatecznie garstkę rycerstwa polskiego, gdyby mógł odszukać króla, Jan Sobieski wydał natychmiast rozkaz, aby przybycie jego powitano głośną salwą ze wszystkich dział.

Chciał tym sposobem objawić nieprzyjacielowi, iż nie myśli się przed nim ukrywać.

Położenie króla było okropne. Rozrzucawszy oddziały wojska po zameczkach i twierdzach okolicznych, aby broniły przystępu nieprzyjacielowi, sam pozostał z ośmiu tysiącami żołnierza we Lwowie. W kraju nikt ani myślał śpieszyć mu z pomocą. Moźniejsi panowie starali się ubezpieczyć własne siedziby przed napaścią rabujących ord tatarskich, drobniejsza szlachta łamała ręce bezsilnie, jedni rozpaczali, drudzy powtarzali: „jakoś to będzie“ nikt nie poczuwał się do obowiązku zasłaniania kraju własném ciałem, oprócz jednego Sobieskiego. Tymczasem nawała muzułmańska, jak groźna powódź, rozlewała się na wszystkie strony; przedni oddział, złożony z 40,000 wojska, zagarnąwszy i w perzynę obróciwszy kilkadziesiąt miast i grodów, stanął wreszcie 25 Sierpnia r. 1675 pod murami Lwowa. W nocy jeszcze ogromna luna zwiastowała zbliżenie barbarzyńców.

Turcy zaczęli rozkładać namioty, król Jan nie dał im na to czasu. Ustawił on szczupłe swoje wojsko na wzgórzach i w wąwozach, Lwów otaczających. Przejścia te trudne były do przebycia dla licznej armii. Na miejscach wynioślejszych uszykowały się działa i chorągwie usarskie, w dole rycerstwo stanęło z szablami w rękach. Tłumy ludu klęczały w kościele ks. Jezuitów przed obrazem Ś-go Stanisława Kostki, klęczała tam także królowa Marya Kazimiera z dziećmi. Nieustraszonego bohater, nie tylko własną pierś wystawiał na pociski wroga, lecz wszystko, co miał najdroższego, żonę i dzieci przywiódł z sobą, by dać przykład, jak gardzić należy niebezpieczeństwem.

Dzień był wietrzny i zimny, straszliwa śnieżycza zasypywała obóz nieprzyjacielski, jakby Bóg sam wysłuchał modłów chrześcijańskiego ludu i przybywał mu w pomoc. Król przebiegał szyki, powtarzając: „Tu głowę moję położę, albo zwyciężę!“ Potém przeżegnał wojsko, potrzykroć wykrzyknął wielkim głosem: „Żyje Jezus!“ i jak grom rzucił się pierwszy na zastępy muzułmańskie. Daremnie przyjaciele usiłowali go powstrzymać, nikomu się nie dał wyrzedzić, pędził na czele swoich hufców, przykładem tym zagrzewając wszystkich.

Nieraz już i przedtém Sobieski wprawiał świat cały w zdumienie bohaterskimi swemi czynami, lecz pogrom lwowski śmiało zaliczyć można do najświetniejszych jego tryumfów. Nuradyn, wódz turecki, jak twierdzą historycy współcześni, uważał to zwycięztwo za wpływ sił nadprzyrodzonych. Bo też na cud to w rzeczy samej wyglądało: ogromna, czterdziestotysięczna armia, niespodzianie napadnięta przez oddział z ośmiu tysięcy ludzi zło-

żony, w przeciągu kilku godzin poszła w rozsypkę. Bój rozpoczął się po południu, wieczorem Turcy uchodzili w popłochu, a o świcie dnia następnego byli już o kilka mil od Lwowa.

Posel francuzki, ów biskup marsylski Forbin-Janson, o którym wspominaliśmy wyżej, towarzyszył królowi Janowi w tej wojnie i był świadkiem bohaterskich jego czynów. On też ze szczegółami donosił o wszystkiém do dzienników francuzkich w których były między innymi następujące słowa: „Kto w potomności czytać będzie w historii polskiej o kampaniach teraźniejszego roku, nie potrafi sobie wyobrazić, aby król pozbawiony wszelkiej pomocy, którego całym zasobem była własna roztropność i własne męstwo, odważył się stanąć z garstką kilku tysięcy żołnierzy przeciw ogromnej armii tureckiej i żeby tyle potężnych nieprzyjaciół zwyciężył. Bóg jawnie okazał, iż sam jest obrońcą tego wału chrześcijaństwa“. Takie jest świadectwo cudzoziemców o królu Janie. Dopiero w czasach nowożytnych Francuzi oglądali podobne cuda walczności i geniuszu wojskowego w bitwach Napoleona Wielkiego.

Ibrahim Pasza, głównodowodzący wojskiem tureckim, nie dał jednak za wygraną. Pod Lwem jeden tylko oddział poszedł w rozsypkę, reszta ogromnej armii zgromadziła się na nowo i w szybkim pochodzie zdobyła obronne stanowiska: Podhajce, wstawione dawniejszém zwycięstwem Sobieskiego i Zawale. Lecz mściwi bisurmani, zamiast spożytkować te twierdze, spalili je i zniszczyli, potem dopiero, opamiętawszy się, oblegli Trembowłę, aby pozyskać choć jedno stanowisko obronne w kraju. Dowódcą załogi w Trembowli był Samuel Chrzanowski, mąż dzielny i nieugięty. Już cztery razy Turcy szturm przypuszczali, a nie było możliwości, aby się twierdza utrzymała za piątym; niektórzy ze szlachty okolicznej, którzy się schronili w murach zamku, namawiali Chrzanowskiego, ażeby się poddał, on się już chwiać zaczynał, gdy żona jego wpadła nagle na radę wojenną, trzymając w ręku dwa sztylety: „Jeden dla ciebie, drugi dla mnie! zawołała bohaterska niewiasta, gdybyś pomyślał o poddaniu twierdzy“.

Męstwo Chrzanowskię nie byłoby uratowało Trembowli, lecz w chwili, gdy Turcy po raz piąty szturm przypuszczali, ozwały się odgłosy dział w oddaleniu—król Jan przybywał na odsiecz. Na samą wieść o zbliżeniu jego, Ibrahima Pasza odstąpił od oblężenia i umknął w nieładzie, pędził bez odpoczynku, wypoczął dopiero po drugiej stronie Dniestru. Inne oddziały tureckie i tatarskie, paniczną trwogą przejęte, pierzchały także jedno po drugim. Przy końcu Października ziemia polska znów była oczyszczona od nawały bisurmań-

skiej, a król bohater mógł miecz swój schować do pochwy. Teraz dopiero, załatwiwszy się z tylu ważniejszymi sprawami, spełnił nakoniec Jan III gorące pragnienie narodu i pomyślał o koronacji.

(D. c. n.).

Gałązka.

Wichrem z rodzinnęj ziemi porwana,

Płynie gałązka po wodzie,

W dalekie strony, wszystkim nieznaną,

Więcej nie wróci w pogodzie.

Ni ją zatrzyma trawa zielona,

Co bujnie rośnie brzegami,

Ani obwisłe brzozy ramiona,

Co się unoszą z falami.

Ona w kipiącej wodzie się kręci,

I dalej płynie i płynie,

Nic jej nie wstrzyma, nic jej nie znęci,

Aż póki w morzu nie zginie.

I my tak w łódce swego żywota

Płyniem po świata przestworze;

Szczęśliwy! kogo szlachetna cnota,

Prowadzi przez to bezdroże.

Choć ryczą burze, biją pioruny,

Ziemia w posadach się chwieje,

I niebo czasem kryją całuny,

Wszystko stworzenie truchleje:

On jeden tylko z pogodném czołem

I silną wiarą wciąż płynie,

Ufny, że z swoim stróżem aniołem,

Zawsze do portu zawinie.

Ale nieszczęsny, kto w życia biegu

Namiętnościami złudzony,

On bezpiecznego nie ujrzy brzegu,

On już na zawsze zgubiony.

My płynmy śmiało, Bogu oddani,

Dopóki siła nam służy,

Zanim spoczniemy, trudem złamani,

U kresu naszęj podróży.

Ignacy Stopczarski.

SZKOŁA DOŚWIADCZENIA.

Opowiadanie,

dla swoich siostrzeniczek

napisała

S. Wanda Janczewska.

Było około godziny czwartej po południu, gdy do skromnego mieszkania na drugiem piętrze szybko krokami wbiegła ładna, zręczna panienka

i poskoczyła do zajętej szcieniem przy oknie starszej osoby.

— Niechno mateczka spojrz na mnie — zawołała z radosnym wybuchem — czy nie uważa we mnie mama jakiej zmiany?

— Widzę w tobie zawsze to samo roztrzepanie... Ale cóż to, masz na głowie nowy kapelusz? Zkądże to?

— Prawda, że przesliczny? co za ładne wstążki, a jakie kwiatki! Niech mama powie sama, czy nie mam dobrego gustu?

— Nie o to się ciebie pytałam, bądźże choć trochę rozważniejsza. Zkądże więc masz ten kapelusz?

— Właśnie chcę to powiedzieć. Otóż, idę sobie z pensyi z jedną ze swych koleżanek i zatrzymujemy się przed wystawą magazynu, gdzie właśnie wisiał ten kapelusz. Bardzo nam się obydwom podobał, mnie szczególnie, bom nigdy jeszcze nie miała równie ładnego i strojnego. Właśnie rozmawialiśmy o tém, gdy nadszedł ojczulek, pytając, dla czego zatrzymujemy się na ulicy. Ja wtedy pokazałam mu ten kapelusz, a widząc ojca w dobrym humorze i wiedząc, że dziś pensyą odebrał, zaczęłam go tak prosić, że aż kupił mi ten kapelusz.

— Ile kosztuje?

— Sześć rubli.

— Jak ty miałaś serce, moja Cesi, wyciągać ojca na taki wydatek, kiedy wiesz, jak on ciężko pracuje i sobie odmawia wszystkiego, żeby nam tylko na niczém nie zbywało. Wczoraj jeszcze słyszałaś, jak mówił, że musi się odzwyczaić od palenia papierosów, chociaż to jedyny jego zbytek, bo potrzeby nasze się powiększają, a dochody zawsze takież same. Masz już lat trzynaście i rozumiesz to doskonale.

Cesia zrobiła minkę zadąsaną.

— Mama to zawsze mówi mi takie smutne rzeczy, jakby chciała, żebym się martwiła... szepnęła niechętnie, nie tak, jak ojczulek. Ojciec to mnie kocha.

— Więc sądzisz, że ja cię nie kocham? Przykro mi bardzo, że jesteś względem mnie niesprawiedliwą. Powinnaś pojmować, że każda uczyniona ci przezemnie uwaga lub napomnienie mają tylko twoje dobro na celu.

Pani Rogowska, matka Cesi, umilkła na chwilę, a potem zapytała:

— A gdzież Kazia i Mania?

— Ach, zapomniałam poczekać na nie na pensyi.

— Prosiłam cię już tyle razy, żebyś o nich pamiętała. Małe są, nieprzyzwyczajone same chodzić po mieście i mogą być z łatwością narażone na ja-

ki wypadek. Jak mogłaś o siostrach zapomnieć? Cesi?

— Czyż to ja mam tylko o nich myśleć? Zresztą przyznam się mamie, że nie lubię prowadzić się z niemi przez ulicę, jak jaka służąca.

— Wstydź się tak mówić — prawiędziała matka surowo. — To nie dowodzi ani serca, ani rozsądku...

Na te słowa weszły dwie małe dziewczynki z tekami, a powitawszy matkę i złożywszy książki na półce, wesoło wzięły się do podwieczorku, który stał przygotowany na stole.

— Cesi, czemu nie jesz? — spytała jedna z sióstr.

— E,.. chleb z masłem, zawsze chleb z masłem — mruknęła zapytana.

— Żle, moje dziecko, że tak grymasisz — odezwała się matka — prawdziwie głodnemu wszystko smakuje. Pamiętaj, że wielu ludziom zbywa na kawałku chleba i proś Boga, żeby ci go nigdy nie brakowało.

Cesia rozśmiała się:

— Co też mama mówi — zawołała — czy mama chce mnie przestraszyć? Mnie miałoby brnąć chleba? przecież znowu nie jesteśmy biedni i ojciec zapracować jest w stanie na coś lepszego jeszcze, niż kawałek chleba, choćby z masłem.

— Prawda, ale niewiadomo, czy zawsze tak będzie. Zdarza się nieraz na świecie, że ludzie nawet bogaci w jednej chwili bywają w nędzy wtrąceni. Lepiej więc nie przyzwyczajać się do zbytku i być zawsze przygotowaną, że może nas co złego spotkać.

To powiedziawszy, pani Rogowska wyszła do kuchni, gdzie miała jakieś zajęcie. Cesia tymczasem wzięła się niby do przygotowywania lekcji na jutro, ale zaledwie dotknęła książki, odbiegła od niej znowu, oglądając swój ładny kapelusz.

— Ojczulek wracał — zawołała do siebie, słysząc dzwonek w przedpokoju.

Potém, jakby przypomniawszy coś sobie, wyjęła prędko z szafy nową niebieską sukienkę i zaczęła się ubierać, włożyła następnie swój nowy kapelusz i uśmiechnięta zwróciła się do saloniku, chcąc pokazać się ojcu tak wystrojoną i podziękować jeszcze raz za śliczny podarunek. Już miała rękę położyć na klamce, gdy zatrzymała się. Usłyszała bowiem za drzwiami, że oprócz ojca i matki ktoś jeszcze inny znajdował się w pokoju. Poznała po głosie, że to była krewna matki, pani Dobińska, młoda, żywa osoba.

Niewypadało więc Cesi wejść teraz do saloniku i byłaby zaraz wróciła z przedpokoju, gdyby nie usłyszała, że o niej rozmawiają. Ciekawość ją

zdejła i podszedłszy ku drzwiom, stanęła cichutko tuż przy nich.

— Szkoda, żeś się mnie nie poradził co do tego kapelusza — mówiła pani Rogowska. — Cesia ma bardzo jeszcze dobry przeszłoroczny i drugi zupełnie jęj był niepotrzebny. Zresztą uważam, że Cesia zabardzo myśli o strojach, a dogadzając jęj zachciankom w ten sposób, psuje się ją tylko.

— To jeszcze taka młoda dziewczynka i można jęj coś wybaczyć — odparł ojciec, który miał do Cesi słabość szczególną, może dla tego, że będąc prawie ciągle za domem, nie miał sposobności poznać jęj wad tak, jak matka.

— I jabym coś wybaczyła chętnie, gdyby tego nie było za dużo. Zbyt nie zamięłowanie w stroju, w rozrywkach, odrywa ją od nauki, budzi pragnienie zbytku, wszystko jęj się w domu niepodoba, chciałaby Bóg wie czego, nie można jęj napędzić ani do książki, ani do roboty żadnej. Ja zaś chciałabym ją widzieć porządną, pracowitą, skromną w wymaganiach, témbardziej, że niewiadomo jaki los ją spotka.

— Prawda! — westchnął ojciec — majątku mieć nie będzie.

Ale pani Dobińska, może dla tego, żeby przerwać tę smutną rozmowę, a może przez grzeczność tylko, rzekła:

— Taką ładną, miłą panienkę, jak Cesia, zły los spotkać nie może. Każdego potrafi sobie zjednać i ręczę, że źle jęj nie będzie na świecie.

— I ja mam nadzieję, że źle jęj nie będzie — rzekł ojciec.

Ponieważ Cesia usłyszała szmer jakiś w saloniku, jakby ktoś miał wychodzić, poskoczyła prędko do drugiego pokoju i rozbierając się z sukni i kapelusza, rozmyślała o tém, co usłyszała.

Najprzyjemniejszą jęj była pochwała pani Dobińskiej, że jest ładną i miłą. Stanęła przed lustrem i zaczęła się sobie przyglądać. Wiedziała ona już dawno, że była ładną i niestety, za wiele o tém myślała. Przypominała sobie, co nieraz słyszała, że gdy była jeszcze małą i bywała z nianką w Saskim ogrodzie, nieznanym osobom brały ją na kolana, całowały, pieściły, kupowały cukierki, potem, że wszędzie, gdzie bywała z rodzicami, przyjmowano ją bardzo uprzejmie i grzecznie, i przypisywała to wszystko swojej piękności.

— Rzeczywiście, że mnie nie może być źle na świecie, i pani Dobińska ma słuszość, że muszę każdemu się podobać — powiedziała sobie w duchu. — Mama tylko jest zbyt surową, za dużo wymaga odemnie i niepotrzebnie tak bardzo o mnie się troszczy. Czyżby kto mógł mi dokuczać, czy mógłby odmówić, spojrzawszy na mnie, gdybym czegoś potrzebowała, lub o co poprosiła?

To mówiąc, robiła różne minki w lustrze, coraz więcej upatrując w sobie piękności i coraz bardziej ugruntowując się w przekonaniu, że bez pracy i nauki dobrze jęj się dziać będzie na świecie, i że koniecznie ze swą ładną twarzą musi być szczęśliwą.

Od tego dnia coraz bardziej przykrzyły jęj się uwagi i napomnienia matki, coraz smutniejszym wydawało jęj się skromne, choć wygodne mieszkanie rodziców, niecierpliwi ją nauczyciele, wymagający od nięj pilności i pracy, obojętniała coraz więcej dla sióstr za to, że nie chciały jęj uważać za coś lepszego od siebie i nie ustępowały na każdym kroku, jednym słowem, stała się kapryśną, niezadowoloną ze wszystkiego, kwaśną jakąś, a do tego była coraz bardziej leniwą, i niedbałą w nauce i robocie. Daremne były uwagi i przestrogi rodziców, bo chociaż niby poprawiała się na czas krótki, powoli jednak znowu zapominała o swych obietnicach i postępowała jak przedtem.

Tak minęła jesień, zima, i nadeszła wiosna, a z nią straszny tyfus zaczął panować w Warszawie. Wtedy to stało się nieszczęście największe, jakie ją spotkać mogło, ojciec jęj bowiem umarł z tej choroby.

Pani Rogowska odczuła tę stratę boleśnie, ale i Cesia serdecznie żałowała ojca, i zdawało się nawet, że od tej chwili pokochała więcej matkę, widząc ją bowiem zrozpaczoną, przyszła rzucić się jęj w objęcia i zawołała z uczuciem:

— Matko, mój drogi, czy zapomniałaś już o nas, czy nas nic nie kochasz? Ach, co do mnie, to przyrzekam, że będę dobrą, posłuszną, żebyś już więcej umartwień nie miała.

Pani Rogowska przycisnęła ją do piersi i rzeczywiście doznała ulgi, widząc w sercu córki uczucie, jakiego się w nięj nie spodziewała.

Znajdując siłę i pociechę w przywiązaniu swych dzieci, pani Rogowska zaraz po pogrzebie męża zaczęła myśleć, w jakoby sposób mogła zapewnić byt swęj rodzinie, majątku bowiem nie posiadała żadnego, a nie chciała odwoływać się do pomocy bogatszych krewnych. Wprawdzie daleka jęj kuzynka, dowiedziawszy się o śmierci jęj męża i smutnem położeniu majątkowem pozostałej rodziny, ofiarowała się z chęcią zabrania do siebie jednę z dziewczynek, ale pani Rogowska postanowiła z tego nie korzystać.

— Dla czego, moja mamo — zapytała Cesia ze zdziwieniem — nie chcesz oddać której z nas do pani Fiałkowskiej? Ona bogata, jęj to żadnej różnicy nie robi, a tobie lżej byłoby radzić sobie z dwiema niż z trzema córkami. Och, jak jabym chętnie tam pojechała!

— Nikt nie powinien przyjmować pomocy od

innych, dopóki sam sobie radzić może jakkolwiek. A ja mam nadzieję, że przy Boskiej pomocy i przy skromnym funduszu, jaki mi pozostał, potrafię na was zapracować i usposobić was tak, żebyście w przyszłości dawały same sobie rady na świecie i nie były nikomu ciężarem.

— To znaczy, że całe życie będziemy musiały pracować i żyć w biedzie — mruknęła niechętnie Cesia. — Dla czegoż choć jedna z nas nie ma być szczęśliwszą, kiedy jest sposobność po temu?

— Szczęśliwszą! 'Nie pojmujesz, co mówisz. Sama konieczność korzystania z łaski cudzej już jest rzeczą przykrą i smutną, nieszczęściem prawie... O wierz mi, Cesiu, suchy kawałek chleba, zdobyty własną pracą, lepiej smakuje każdemu, kto ma poczucie godności własnej, niż z łaski podawane pasztety. Mam nadzieję — dodała, widząc, że córka patrzy jęć w oczy z niedowierzaniem — że jeżeli dziś tego nie pojmujesz, to pojmiesz z czasem i będziesz mi wdzięczną, że uchroniłam ciebie od potrzeby przyjmowania łaski ludzkiej.

— Więc cóż ja będę robiła, jakże mam pracować na siebie? — zapytała Cesia z tłumioną niecierpliwością.

— Myślałam już o tém i w tym celu byłam u przełożonej pensyi, pani L., aby się dowiedzieć, czy warto kształcić cię dłużej, bo z postępów, jakie czyniłaś dotąd w naukach, wątpiłam o tém... Pani L. zapewniła mnie, że masz niepospolite zdolności i jeżeli zechcesz, możesz z wielką korzyścią nauki skończyć, aby potem pracować w zawodzie nauczycielskim. Zaczna przełożona wiedząc, jak trudno mi terazłożyć na twoją edukację, ofiarowała się kształcić cię bezpłatnie w swoim zakładzie, pod tym jednak warunkiem, że będziesz pilniejsza i pracowitsza niż dotąd. Ofiarę tę przyjmując możesz bez skrupułu, bo skończywszy nauki, będziesz w możności wypłacić się pani L. za doznaną pomoc, pracując u niej jakiś czas jako nauczycielka. Spodziewam się, że zechcesz skorzystać z tak dobrej sposobności uzdolnienia się do pracy, mogąc ci byt zapewnić na przyszłość i oddasz się teraz nauce całą duszą.

— Ach dobrze, mateniko, przyrzekam ci to solennie — zawołała Cesia prawie uradowana, bo przyszło jęć nagle na myśl, że zostawszy nauczycielką, będzie posiadała własne pieniądze, a za nie sprawi sobie takie stroje, jakie jęć się podobają i ulubione świecidełka. — Zobaczy mama, że będę się teraz uczyła doskonale.

Niedługo potem pani Rogowska opuściła zajmowane dotychczas mieszkanie, a przeniosła się do dwóch małych pokojów, do których należały obszerne sutereny, gdzie miała zamiar założyć pralnię. Ze sprzętów domowych zostawiła sobie

tylko to, co do koniecznej potrzeby służyło, resztę zaś, jako też meble z saloniku, sprzedała, żeby powiększyć swój skromny fundusik.

Gdy je wynoszono, Cesia zawołała przerażona:

— Jakto, nie dość, że mamy mieszkać w takich lichych dwóch stancyjkach, jeszcze mama sprzedała najładniejsze meble! A cóż zrobimy, gdy goście do nas przyjdą?

— Gości żadnych przyjmować nie będziemy, a jeżeli zajrzy do nas czasem ktoś prawdziwie życzliwy, to mu wszystko jedno będzie, na jakim usiądzie krześle. Postaramy się za to, żeby w naszym maleńkiem mieszkanku było czystutko, bo to prawdziwa ozdoba każdego mieszkania.

Cesia zalała się łzami.

— O mój Boże! — zawołała — więc już wszystkiego wyrzec się trzeba! I mieszkania, i mebli, i gości! Ach, jakżem ja nieszczęśliwa!

— Zostaje ci matka, siostry i kącik własny. Gdyby ci przyszło wyrzec się tego, wtedy naprawdę może byłabyś nieszczęśliwą, choć i w tém położeniu znajduje się wiele osób, a nie narzekają, jak ty... Moje dziecko, mnie może więcej dać się uczuć brak wygód, do których całe życie byłam przyzwyczajona, a godzę się ze swym losem i pocieszam się myślą, że mogę być jeszcze dla was pożyteczną.

(D. c. n.).

Z A S Ł A W.

Dwa miasta noszą tę nazwę, jedno w gubernii mińskiej, drugie w gubernii wołyńskiej. Rycina nasza przedstawia Zasław wołyński nad Horyniem. Początki jego sięgają bardzo starożytnych czasów; miasto to pierwotnie miało być zwane *Jzasław*, jakoby od założyciela Izasława, księcia ruskiego. Niesiecki powiada, iż Bazyli, książę Ostrogski, czyniąc dział pomiędzy dwoma synami, przekazał Zasław Jerzemu, który się stał głową domu książąt Zasławskich. Ostatni z tego rodu, Aleksander, dziedzic ordynacyi ostrogskiej, zmarł bezdzietnie r. 1673. Zasław przez siostrę jego i siostrzenicę przeszedł drogą spadku do książąt Sanguszków.

Smutne wspomnienia historyczne przywiązane są do tego miasta. W czasach napadów tatarskich kilkukrotnie było niszczone i rabowane. W połowie XVII wieku zbuntowani Kozacy zburzyli je i spustoszyli straszliwie, wymordowali ludność żydowską. Zasław nigdy już od téj pory się nie podniósł, dziś jest miasteczkiem bardzo niepokojnym, ludność ma zawsze przeważnie żydowską; główną jego ozdobę stanowi duży i piękny staw.

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

przez M...a.

Obowiązek po dawnemu.

Szeroko, ale niewygodnie jakoś płynie Wisła pod Raciążkiem, daleko raźniej byłoby jęj płynąć tą piaszczystą równiną tuż obok, którą niektórzy nazywają też starém Wisły korytem, na co ona w istocie wygląda. To stare koryto musiało być bardzo podatne na łożysko wartkiej rzeki, dziwném się nawet zdaje, iż cofnęła się z niego. Może się cofnęła, aby odstąpić od stóp wspaniałego wzgórza, pokrytego żyznemi ogrodami i bujnemi łąkami zboża, w pośród których wyglądają ku niebu stare olbrzymie mury i schłodzone domki małego, ale starożytnego miasteczka Raciążka. Miałaby w tém pewną słuszość, bo na skraju miasta, u stóp góry, sterczą do dzisiaj trzy potężne złomy murów, niby trzy słupy niekształtne, a wśród nich zawalone sklepienia i gruzy zasypały obszar na okół, zczerniałe, jakby przesiąknięte krwią. Może Wisła odsunęła się kiedyś, aby na to, co się tu stało, nie patrzeć...

Te straszne gruzy, wspaniałe mimo okropności, i piękne w swęj przeszłości nieszczęsnęj, są szczątkami starożytnego zamku biskupów kujawskich. Zamek ten nie był wielkim, ale był niepospolicie obronnym. Takim czyniła go przyroda i sztuka, gdyż punkt ten niezmiernie był ważnym, tutaj albowiem wypadała przeprawa przez Wisłę nieprzyjaciółom, ciągnącym na Polskę od północno-zachodu: więc Prusakom, Krzyżakom, i Szwedom. Z dawna też oceniono ważność tego stanowiska, i jakby strażnicę, wybudowano silny zamek w tém miejscu na szczycie góry. Roku 1330-go była to więc już stara, doświadczona, lecz dzielna warownia, gdy wielki mistrz krzyżacki, Werner Urseln, podstępem i zdradą podchwyciwszy już Pomorze gdańskie, pociągnął przeciw dalszym polskim dziedzinom. Oczywiście wypadło przechodzić pod pojętną niezmiernie warownią raciążską, na którą zawsze łąkami oczyma spoglądali Krzyżacy.

Późnym wieczorem siedział w sklepionej komnacie raciążskiego zamku, przy stole papierami zarzuconym, ksiądz biskup Maciej z Golańczewa. Goniec, który właśnie przywiózł papiery, odchodził z komnaty. Biskup przerzucił papiery, nie rozwierając ich nawet, lecz zgadując po wierzchu, i odepchnął je od siebie, ciężko wzdychając. Wtém wszedł rycerz z Golańczewa, brat biskupa Macieja; wchodząc, spostrzegł ów ruch brata niechętny, zatrzymał się u drzwi i rzekł:

— Panie ojczel obchodząc czaty na murach,

ujrzałem światło w tęg komnacie i wiem, żeście zgońcem mieli do czynienia; wolnoż mi wejść także?

Dzielny rycerz, ojciec rodziny, ale młodszy brat biskupa, nazywał go zawsze imieniem ojca. Tak to już weszło we zwyczaj, gdy starszy ów brat niegdyś młodszemu rodzeństwu naprawdę ojca zmarłego wcześniej zastępował.

— Wejdźcie, panie bracie — odrzekł biskup — i owszem; radzić nam podobno. we dwóch dobrze. potrzeba, bo oto zdaje się, jakby zapomniano o nas; zostawiają nas własnym siłom, a przecież Krzyżak to potęga straszna! — Biskup powiedział to z rozżaleniem w głosie, i odepchnął jeszcze raz papiery od siebie.

— Jako? czyliż król nie wybiera się przeciw Krzyżakom nas wesprzeć? — zapytał rycerz żywo.

— Gorzej! nic niéma od króla! — odpowiedział biskup, rozrzucając papiery.

— Ach, nie czytaliście jeszcze, panie ojczel — rzekł rycerz — a nuż tam jest wiadomość jaka o królu, choć nie od niego samego?

W odpowiedzi na te słowa, biskup zabrał się do przeglądania wzgardzonych z razu listów, wezwawszy i brata do tęg pracy. Niewiele wtém pomógł rycerz, wprawniejszy do szabli niż do odczytywania dokumentów, wkrótce jednakże ułatwiono się z niemi, gdyż nie dużo ich było. Pokazało się wszakże, iż biskup nie darmo niechęć listom tym okazywał. Od króla nie było nic, żadnej wiadomości, a inni panowie znakomici, do których natarczywie był się biskup odezwał w sprawie grożącego od Krzyżaków niebezpieczeństwa, odpowiedzieli, że król i oni wszyscy o Krzyżakach myślą, i że dla tego właśnie coprędzej kończy się sejm.

— Oni tam sejmują, a tu Krzyżak na karku! — załośnie biskup zawołał:

— No, jeszczeć przecieź nie, panie ojczel — mruknął rycerz, zakłopotany jednak mocno po odczytaniu listów owych „nijakich“ jak sam je nazywał. A gdy on owe wyrazy „jeszcze nie“ wymawiał, dał się słyszeć gwałtowny odgłos zwykłej trąbki, gdy ktoś z rycerstwa żądał wejścia do obronnego zamku. Dwaj bracia spojrzeli na siebie niespokojnie i młodszy żwawo wybiegł z komnaty. Tętent koni zabrzmiał przed zamkiem po przebyciu bram. Biskup ukląkł, prosząc Boga o dobrą nowinę. Po chwili wrócił młodszy Golańczewski, wiodąc z sobą przybyłego właśnie kasztelana starogrodzkiego.

— Idą już! idą! — rzekli obaj wchodzący, bo z tą nowiną o zbliżających się zastępach krzyżackich przybywał kasztelan. Zwiększał on też wraz ze swą garstką rycerstwa liczbę obrońców zamku, jak to było z góry ułożone między nim i Golańczewskimi. Biskup, przed chwilą rozpa-



Zagław (str. 627).

czający prawie, teraz uspokoił się odrazu. Pospolita to rzecz u ludzi prawdziwie odważnych i wytrawnego umysłu. Przewidując odległe nieraz wypadki i znając ich ważność, trwożą się oni i trapią wtedy, gdy ktoś lekkomyślny jest jeszcze w najlepszym usposobieniu ducha. Ale za to przestają się trwożyć, gdy spodziewane niebezpieczeństwo już nadejdzie. Tak było i z biskupem Maciejem, gdy wchodzącym dwom rycerzom odpowiedział poważnie:

— Przyjmiemy ich, jak powinność każe — ale w głosie jego dźwięczał smutek. Więc rzekł kasztelan:

— Księżę biskupie, coś niezbyt ochoczo gotujecie się podobno na to przyjęcie; dla czego? Wszakże nie pierwszy to raz przyjdzie racyązskiemu zamkowi zasłaniać kraj przed wrogami; ileż już razy zatrzymały ich jego mury!

— Tak — odparł biskup — ale zawsze była to tylko przelotna nawałność, gdy tymczasem na ten raz zanosí się na długą sprawę. Wedle moich wiadomości, ten Werner Urseln idzie tu ogromną potęgą i całą na nas uderzy, a ja zapowiadam, że trzymać się będę do ostatka, aby dać czas naszym na sił zebranie. Bo chociaż boli mię i dziwi brak wieści od króla, to jednak pewien jestem przyczyny tego pozornego niedbalstwa. Znam króla, jeżeli nie odpowiada, to musiało się jakieś nieszczęście z jego odpowiedzią wydarzyć: może ją przejęto. Ale mimo to król wie, co się tu dzieje i jeżeli nie przybywa kraju zasłonić w miejscu, gdzie to uczynić najłatwiej, to jedynie dla tego, że nie może. Otóż, aby miał czas po temu, my musimy się tu trzymać może bardzo długo, bo nie zdaje mi się, aby wróg zechciał nas porzucić i iść dalej, pozostawiając sobie niezdobytą warownią za plecami. Tego się lękam; długie oblężenie wiedzie zawsze do klęsk strasznych.

Biskup umilkł, a wtedy wśród ciszy doleciał do uszu obecnych gwar zmieszanych odgłosów bez nazwy, odległy zrazu, lecz bliższy i wyraźniejszy z każdą chwilą. Był to głos trwożnych tłumów. Rycerz z Golańczewa roztworzył okno, przez które wpadała łuna podwójna: wczesnego wschodu, i płonących wiosek. W bramy zamku zawarte tłoczył się, błagając o schronienie, tłum ludu, który uchodził przed blizkim już wrogiem. Strażnicy niektórzy, może miejscowi mieszkańcy, mieli ochotę wpuścić lud do twierdzy, inni obawiali się tego z uwagi na możliwe długie oblężenie, trudniejsze do wytrzymania z licznym ludem. Nie mając rozkazów, wszyscy spojrzeli w górę ku oświetlone-mu oknu, gdzie w potrójnych blaskach i światła z komnaty, i łuny, i wschodzącego słońca, widziano wodzów:

— Puszczaj! — krzyknął biskup.

— Zawrzyć bramy! nie puszczać! — krzyczeli rycerz Golańczewski i kasztelan jednocześnie. Ale głos biskupa pierwszy doleciał uszu straży i tłumów: straż ustąpiła, lud tłocząc się wpadł w dziedziniec.

— Nieszczęście! któż wytrzyma oblężenie z tłumem nieużytecznego ludu, dla którego zamek nie ma i nie może objąć dostatecznej ilości zapasów?

— Żywności mamy i możemy mieć tylko na jeden miesiąc dla koniecznych obrońców! Panie ojcze, coś uczynił?

— Księżę biskupie, coś uczynił?... — tak utyskiwali dwaj wodzowie, i sam biskup już spostrzegł, że powodowany naturalnem uczuciem ludzkości naraził sprawę kraju całego. Tymczasem zupełnie toż samo, co między wodzami, działo się i wśród podrzędnego rycerstwa i straży. Spostrzeżono namysły wodzów, a zarazem i widok ludu, zapełniającego wewnątrz warowni, przestraszył jej obrońców, wystawiając im dotykalnie przed oczy niemożność wyżywienia tych tłumów. Ci, którzy pierwsi wpuszczali lud, pożałowali teraz tego, co uczynili.

A wtém niesforna, długą ucieczką zmęczona chmara ludzi, podniosła nagle przeciągły wrzask radosny, w odpowiedzi na piskliwy głos jakiś, wołający:

— Woda! tam woda!...

Niewiasta to jakaś czy dziecko wołało tak, ukazując studnię w głębi trzeciego dziedzińca, i nagle z wrzawą radosną lud spragniony rzucił się ku studni owęj, ustępując z pod zamkowego okna. Kasztelan, rączy a gwałtowny, wychylił się z okna w téjże chwili, wołając:

— W drugim dziedzińcu jest brama! wyprzeć lud tamtą bramą! inaczej za trzy dni będzie w zamku głód!

Nie potrzeba było powtarzać tego rozkazu, zanim rozległ się sprzeczny z nim głos biskupa, już lud naparty wypchniętym został z zamku stroną przeciwną téj, którą wszedł. Stało się to tak szybko, że zdawało się, jakby chmary owe przetłoczyły się tylko wskroś przeciwegłych sobie bram warowni. Zamek po krótkiej chwili szalonej wrzawy pozostał znów milczącym rycerskim grodem, jak był przed tą chwilą. Równocześnie, przy coraz jaśniejszym poranku, ujrzano w oddali ukązujące się szeregi krzyżackie:

— Baczność! to wróg! — zawołał ponuro jakoś Maciej z Golańczewa. W jednej chwili zaparto bramę za wygnanym ludem i każdy stanął na właściwem stanowisku. Szeregi krzyżackie szybko otoczyły wzgórze, pokryły je i ścisnęły zamek, opasując go szczelnie i wzywając do poddania. Odpowiedziano strzałami.

Rozpoczęło się oblężenie, ciężkie dla garstki oblężonych, zmuszonych bronić się bez przerwy dniem i nocą przeciw zastępom liczniejszego wojska, zawsze świeżym, bo zmieniającym się nieustannie. Krzyżak rachował właśnie na tę małą ilość obrońców i uderzał odrazu zaciekle. Śpieszno mu było coprędziej zdobyć uprzykrzony mu mały zameczek, aby zapuścić się dalej w głąb Polski, zanim król Łokietek, rozerwany na wszystkie strony, podołałby stawić mu opór. A otóż stało się, że Krzyżacy właśnie potknęli się na wstępie do Polski i czas drogi stracili u tego zameczku, musieli się tu „zabawić”, bo dobrze im go broniono, i ludzi wiele stracili *).

Takie wyrazy zapisały o tym kroniki, a Bóg tylko wie, bo widział, jakimi krwawymi wysiłkami zarobili na te słowa obrońcy raciążskiej małej warowni. Biskup był wszędzie, pracował własnymi rękami, rycerstwo pomagało mu całą duszą. Gdy zękanie odbierało odwagę i siły, biskup przemawiał do rycerstwa krótko a dobitnie, bo na gawędy czasu nie było. Mówił o rycerskim obowiązku, który w tej chwili całkowicie na nich spoczywał, obowiązku zasłonięcia ojczyzny piersiami. Nie wspominał prawie o pomocy od króla, bo nie chciał kazić ust fałszem, podając nadzieję, jakiej sam nie miał. Król niewątpliwie wyruszyć miał przeciw nieprzyjacielowi, ale kiedy to stać się mogło? tego nie chciał biskup kłamstwem osłaniać. Wiedział, że miłość silniejszą jest od nadziei nawet, i dla tego przemawiał w imię miłości ojczyzny, a nie w imię nadziei królewskiego przybycia. Wiedział także, co może siła przykładu, i dla tego, odstóp ołtarza odchodząc, z rana, w dzień i w noc, stawał się żołnierzem, pachołkiem, lekarzem opatrującym rany, wszystkiem, czém było potrzeba.

I otóż po pierwszych dwóch tygodniach przyszło na to, że obrońcy spotęźnieli duchem i ciałem w ciężkim boju i trudzie, zaciekli się jakoś, nie w nadziei, ale w obowiązku: Krzyżak się zaciekł i oni zaciekli. Niejeden, który w początkach upadł i uległ cierpieniu, teraz powstawał i szedł walczyć na mury, dzwignięty jakby cudem. Zdawało się czasem, że walczą już to nie ludzie z kości i ciała, lecz duchy. Strzały zdawały się ich nie chwycać, jądło zdawało się niepotrzebnem dla nich. Woda tylko, chciwie i nieustannie pożądana przez spragnionych rannych, leczyła rany, krzepiła ciało; a nierannych tam już nie było. Woda to była istotnie smaczna i czysta, pochodziła z jedynej studni w drugim dziedzińcu małym. Nią krzepili się ci ludzie, w których duch zwyciężał ciało.

W takich okolicznościach, patrząc na wchodzą-

cych na wały tych, którzy spadli z nich pod gradem pocisków dnia poprzedniego, biskup mimowiedzy zaczął uczuwać nadzieję. Z takimi ludźmi wszystko było możliwem, bo to nie byli już ludzie zwyczajni. Możliwem było nawet wytrwać w boju nieustannym z całą krzyżacką potęgą, wytrwać w tem, co było nie do wytrwania. To, co czuł biskup, poczęli zgadywać czy uczuwać i Krzyżacy także. Zabobonni, jak wszyscy w owych czasach, nie mogąc sobie inaczej wytłómaczyć wytrwałości tych ludzi, zaczęli przypisywać nieczystej sile, czarom, to, co było wynikiem najczystszej nad czystemi miłości. Strach tajemniczy poczynął przejmować zbrojne krzyżackie zastępy przed tym kamiennym rycerskim gródkiem, zawieszonym na szczycie wzgórza i siejącym od kilku miesięcy śmierć w ich szeregach. A w miarę, jak ten strach przejmował żołnierzy, wściekły gniew szarpał duszę Wernera Urseln. I on pewien był, że tylko czary jedne mogły opierać się tak długo małemi środkami jego potędze, ale gotów był walczyć nawet z czarami, byle dumę zranioną zadowolnić.

— Czary? ha! choćby piekło całe tam siedziało, ja w proch muszę rozbić tę kamienną chatę! Nie mówcie mi o odstąpieniu, bo zgładzę każdego, kto mi to powie, jak tego mnicha i jego służalców zgładzę w tej chacie! — tak krzyczał raz wielki mistrz Werner Urseln, stojący przed swym namiotem u stóp zameczku, zgrzytając zębami ze złości i pięści ściskając zajadle. A wtém ozwał się głos skrzekliwy, złośliwością syczący, tuż za wielkim mistrzem:

— Oj to to! zgładźcie ich, panieńku! zetrzyjcie w proch! rozbijcie, i pragnieniem zamordujcie, jak oni mię zamordowali, kiedy wygnali nas z zamku od wody!

Wielki mistrz, mimo wszystkich grzechów i wad krzyżackich, był przecież rycerzem, to też niepodobna wyrazić wgardy, z jaką odwróciwszy się spojrzał na syczącą powyższe wyrazy żebraczkę. Po mowie jej domyślał się, że owe serdeczne życzenia przeciw własnym rodakom wymawiała, rzekł więc:

— Cóż to? czy ci kto z twoich skonał z pragnienia, kiedy cię z zamku wygnano? Boć ciebie nie zamordowano przecież, skoro syczysz, żmijo!...

Rycerz Krzyżak od razu zrozumiał złośliwą gadaninę kobiety, bo on najlepiej wiedział, dla jakich to koniecznych powodów lud bywał wydalany z zamków skazanych na oblężenie.

— Ej, kto z moich miał konać, kiedy nie było nikogo; ja sama mało nie skonałam, mało co, małeńko, prawie że mię zamordowali — odrzeczcie złośliwa kobieta — niechże im za to wyschnie ta studnia, kiedy mi z niej wody poskąpili!

*) Bielski.

— Czy oni tam jedną tylko studnię mają? — zważo wielki mistrz zapytał, jakby uderzony jakąś myślą nagłą. A żebraczka odpowiedziała:

— Jużci jedną; i ta głęboka, aż strach, ledwo że się wody pono tam kiedyś dokopano; o tam, o! na tym skraju góry.

— Tam?! — krzyknął wielki mistrz. — Tam, powiadasz, jest ta jedyna studnia?.. w końcu zewnętrznego dziedzińca? nie w obrębie głównych murów? Tam, gdzie ja właśnie wcale nie przypuszczałem szturmów, ponieważ je sądziłem bezkorzystnemi?

— A tam... o tam!... o tu w tym węgle muru... — objaśniała złośliwa, a przytém mocno głupowata żebraczka, wskazując palcem.

— Pójdź precz! — z pogardą ofuknął ją rycerz Krzyżak, rzucając jej jakiś drobny pieniądz z takim wyrazem, z jakim złemu i obrzydliwemu zwierzęciu jakiemu rzuciłby kość, aby go się pozbyć. Nikczemna istota chwyciła pieniądz, błogosławiąc w niebogłose Krzyżaka, najezdzcę jej rodzinnej ziemi. On tymczasem gwałtowném skinieniem przywołał do siebie kilku dowódców, i zapalczywie rzucając się, jął wydawać rozkazy. Obu rękami wskazywał w uniesieniu na ów węgiel murów, w którym była studnia, a o który on dotąd nie dbał.

W chwilę później Krzyżacy przypuścili szalony ale fałszywy atak do głównej części murów zamczku, a gdy nieliczni obrońcy skupili swe siły w miejscu zagrożoném, szaleńszy jeszcze, bo prawdziwy teraz napad ze strony przeciwnej, dozwolił nareszcie Krzyżakom zrobić wyłom w owym zaniedbanym dotąd przez nich węgle muru, i opanować dziedzińczyk, zawierający studnię... Nagle walka ustała ze stron obu; chwila grobowego milczenia nastąpiła po nadludzkich wysileniach. Wielki mistrz stał przed swym namiotem i patrzył na milczący zameczek, śmiejąc się wściekle na całe gardło:

— Ha ha ha!... teraz obaczmy, czy pomogą wam czary bez wody!... ha ha ha... — mówił, wygłaszając pięścią ku zamkowi. Pewny teraz zwycięstwa, kazał już nazajutrz uderzyć całemi siłami na zamek. Ale obrońcy wytrzymali jeszcze ten szturm po swojemu.

— Poczekajmy!... niechno trochę lepiej skruszeją bez wody! — powiedział wielki mistrz, szalejąc ze złości. Począł dwa dni i znowu uderzył, i znowu ci ludzie z nadludzką siłą wytrzymali napad. Krzyżak, od rozumu odchodząc ze złości, począł jeszcze tydzień cały i znowu uderzył. I wdarli się Krzyżacy wtedy do raciańskiego zamczku: obrońcy jego konali... Nikczemni, a złością upojeni wdziercy wymordowali bezsilnych,

konających z pragnienia bohaterów, pastwiąc się nad nimi tak straszliwie, że... Któż wie, czy nie wtedy to jasna Wisła odstąpiła od miejsc tych, jakby przerażona tak okrutném męczeństwem, morderstwem...

Krzyżacy zachowali jednak przy życiu biskupa, sądząc zapewne, że zjedną go sobie. Ale zyskali przez to tyle tylko, że gdy król wygnał ich z kraju, biskup Maciej z Golańczewa natychmiast odbudował zamek, z którego oni pozostawili tylko gruzy skrwawione. Niezadługo wszakże silne mury rozpadły się znów w gruzy, jakby krew bohaterów takiej na pamiątkę żądała mogiły. W kronikach pozostały o tém oblężeniu takie wyrazy: „byliby się nasi bronili dłużej, ale im studnię odjęto, bez której wody w zamku nie było“ *).

PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYNIE,

z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Niech panienka okryje dobrze braciszka i siebie, bo deszcz będzie padał za chwilę — odezwał się Jakób, który siedział w drugim wagonie za nami. Wrzeczy samą mgłą gęsta zaległa wzgórza, a gdyśmy przybyli na miejsce, deszcz kroplisty zaczynał już padać. Jakób wysadził nas i rzekł, wskazując poblizki budynek:

— To kuźnia, może panienka tam się schronić przed deszczem z chłopczykiem.

Ale nie łatwo to było dostać się do tej kuźni, na samą drogę piętrzyła się ogromna kupa gliny, po bokach znów ciągnęły się moczary, trudniejsze jeszcze do przebycia. Na nieszczęście deszcz rozmięczył tę glinę ugniecioną, nogi grzęzły w niej tak głęboko, że wkrótce buciki nasze wyglądały zupełnie jak futrzane obuwie Eskimosów, bo gruba warstwa lepkiej gliny pokryła je całkowicie. Na domiar nieszczęścia, zaczęliśmy się co krok potykać a deszcz coraz silniejszy zalewał nam oczy tak, że nie widzieliśmy nic przed sobą. A tu nigdzie żywej duszy, wszyscy robotnicy poukrywali się gdzieś przed deszczem, byliśmy sami wśród tej pustki, siły zaczynały nas opuszczać. Janek rozplakał się, chwycił mnie obiema rączkami za suknię, wołając:

— Siostrzyczko, zgubiłem trzewik! a ten deszcz tak okropnie pada i pada! Co my będziemy robili, wracajmy prędziutko do domu.

— Uspokój się, Janeczku — odrzekłam — nic się nam nie stanie. Obejmij mnie za szyję, ja cię wezmę na ręce.

*) Bielski.

Podniosłam chłopczynę i tym sposobem wdraliśmy się jakoś na wierzchołek wzgórza, ale tu tak strasznie było ślizko, że nie mogłam utrzymać równowagi, upadłam i stoczyłam się razem z Jankiem aż na dół. Ach! cóż to była za nieprzyjemna przeprawa! nie pamiętam, żebym kiedy w życiu tak się zmęczyła, a biedny mój braciszek znowu płakać zaczął. Obejrzałam się na wszystkie strony, czy nie zobaczę gdzie starego Jakóba, lub kogokolwiek, każda twarz ludzka wydałaby mi się teraz obliczem anioła pocieszyciela.

A gdy tak spoglądała z prawdziwą rozpaczą dokoła, ujrzałam nagle przybywającą pomoc. Pan jakiś jechał na karym koniu prosto w naszą stronę. Zdaje mi się dziś jeszcze, że go widzę, jak w pełnym galopie zbliża się do nas, z głową przykrytą dużym kapeluszem, pochyloną naprzód. Nigdy nie zapomnę, z jak serdeczną dobrocią przemówił do nas, zatrzymując konia:

— Co to się stało, moje dzieci?

Jestem przekonana, że ten zacny dziedzic nigdy nie ominął obojętnie nikogo, potrzebującego ratunku; bo on to był, a będę go i nadal tak nazywała, prawdziwego jego nazwiska wyjawiać nie śmiem bez jego pozwolenia, zmyśloném nazywać go nie mam serca.

— O, panie — rzekłam żałośnie — nie możemy się ztąd wydobyć, a tu deszcz taki straszny pada, a mój mały braciszek jest wątlwy bardzo.

Inny na jego miejscu byłby śpiął konia i pośpieszył dalej, ażeby nam co prędzej przysłać którego z robotników na pomoc. Ale ten szlachetny pan nie uczynił tego, zsiadł natychmiast z konia, pochylił się, podniósł małego Janka, potem mnie podał rękę i wyprowadził nas z tej grzęzkieliny gliny, a po chwili wchodził razem z nami do budynku, gdzie były warsztaty robotników.

— Odpocznijcie tu, moje dzieci — rzekł — a wy — dodał, zwracając się do robotników, z uprzejmą poufałością — miejcie tu o nich staranie.

Nie wiem sama, co mi się stało; czy dobroć tego zacnego pana wzruszyła mnie i zbudziła w mém sercu jakieś uczucie uspione, ale nagle mi się na płacz zbierać zaczęło, dziwny mię smutek ogarnął, a do głowy, tyłu wrażeniami skołatanej, uporczywie cisnęła się myśl o tym ojcu, którego nie znałam nigdy. O! jakżeby go kochała! bo on pewnie był podobny do tego pięknego, dobrego dziedzica. I szybko otarłam twarz, na której zimne krople deszczu zmieszały się z gorącymi łzami.

— Chodź, Janku — rzekłam — trzeba nam się osuszyć.

W izbie, gdzieśmy siedzieli, było ciepło, woda

gotowała się w dużym kotle, a ludzie, którym nas dobry pan polecił, bardzo byli dla nas uprzejmi. Pomogli mi rozebrać Janka, powiesili ubranie jego przy ogniu, żeby obeschło, oczyścili obuwie nasze z gliny, było nam teraz dobrze i wygodnie. Janek uspokoił się zupełnie, patrzył z zajęciem na przedmioty otaczające, aż mu oczęta zabłyśły.

— Patrzno, siostruniu — mówił, wyciągając rączkę — jak to się kręci ślicznie! Tyle tu kółek malutkich, a jedno koło ogromne. O, jakież to ładne!

— A widzisz, mój chłopczyku, jaka to piękna zabawka. Czy nigdy nie widziałeś maszyny parowej?

Poznałam odarzu ten głos dźwięczny, serdeczny. Tak, to był dziedzic, przychodził dowiedzieć się, co robią biedne dzieci, które poratował. Sama obecność jego niewymowną mi sprawiała przyjemność, czułam się bezpieczną i spokojną pod jego opieką.

— Dowiedziałem się, że to wy jesteście dziećmi pułkownika Liningtona, wuj wasz, pan Ruben Morton, to mój dobry znajomy — rzekł dziedzic — bardzo rad jestem, że ten chłopczyk tak się tu dobrze bawi.

Potem wziął Janka na ręce i pokazał mu maszynę zblizka.

— Mój braciszek jest wątlwy i blady — rzekłam, postępując za nim — zdaje mi się, że potrzeba mu ruchu i powietrza, ażeby sił nabrać i zdrowia; nieprawdaż panie?

Patrzałam mu prosto w oczy, nie czułam się wcale onieśmieloną, od pierwszego wejrzenia poznałam, że dobry ten pan spoglądał na nas z ojcowskiem prawdziwie uczuciem i powzięłam doń wielką ufność. Umiał on natchnąć ufnością każdego, kto się zbliżył do niego. Spojrzał na mnie z uwagą i dziwnym wyrazem rozrzewnienia.

— A więc ty sama opiekujesz się braciszkiem, moja dziewczeczko? — spytał łagodnie.

— Tak panie, straciliśmy rodziców, jesteśmy sierotami.

— Tak! — a wyraz ten wymówił z współczuciem głębokiem, i przez chwil kilka patrzył w milczeniu, to na mnie, to na Janka. Jakże rada byłam, że przed chwilą przycesałam włoski braciszкови i poprawiłam zmięty kołnierzyk; tak ślicznie wyglądał, musiał pochwycić za serce każdego.

— Moje dziecko — rzekł wreszcie dziedzic — ciężkie to zadanie na twoje lata. Braciszek twój rzeczywiście jest wątlwy, ale nie zdaje mi się, aby miał być chorowity, a ja się troszkę znam na tém. Jeżeli chcesz, aby rósł zdrowo i sił nabierał, staraj się trzymać go jaknajwięcej na świeżem powietrzu. Niech biega, niech się bawi, a będzie

miał dobry apetyt i sen spokojny. Jeden z moich chłopczyków jest także warty i postępujemy z nim w takiż sam sposób; a jeszcze jedna rzecz... moje dziecko, wszak wiesz, o czém pamiętać należy zaraz po przebudzeniu i przed uśnięciem?

A mówiąc to, wziął moje rękę w dłoń swoje i patrzył na mnie z uśmiechem i powagą zarazem.

— O pacierzu! — rzekłam bez wahania.

— Otóż to właśnie, otóż właśnie — odpowiedział z tym dobrotnym uśmiechem, którym każdego pociągał do siebie. Potem pożegnał się z nami, wsiał na koń i odjechał.

Chodziliśmy z Jankiem z kąta w kąt, obejrzelśmy kuźnię, potem widzieliśmy różne warsztaty, gdzie sporządzano wagony, łodzie i statki, napatrzylismy się na rozliczne maszyny, i mnóstwo ciekawych rzeczy, o których nie mieliśmy przedtem najmniejszego wyobrażenia. Nareszcie przyszła jakaś kobieta, bardzo miła i uprzejma, przyniosła nam duży garnuszek mleka, chleba, masła, i sera. Dobry pan odjeżdżając polecił jęj, aby nas nakarmiła, a Jakóbowi przypominał, że trzeba nas odwiedzić przed wieczorem do Eliasza.

— O, co to za człowiek, ten nasz dziedzic, co to za człowiek! — mówił pocziwy Eliasz, gdy mu to wszystko opowiedziała — takiego niema na całym świecie.

Przekonana jestem i dziś tak samo, jak wtenczas, że Eliasz miał zupełną słusność.

VIII.

Nowe przygody.

Pierwsza ta wycieczka tak nas rozochociła, że odtąd często oboje z Jankiem wpraszałismy się do wózka Eliasza i zwiedzaliśmy zakłady przemysłowe dziedzica. Jazda w wagonie szczególnie zachwycała mego braciszka, lubił też bardzo oglądać rozmaite warsztaty, a robotnicy wkrótce się z nami zapoznali i snuliśmy się po wszystkich kątach swobodnie, przypatrując się wszystkiemu, lecz nikomu nie dokuczając.

Najczęściej jednak przesiadywaliśmy w kuźni. Janek całemi godzinami gotów był śledzić oczyma kowali, sporządzających gwoździe, podkowy, szyny żelazne, a mnie znów bawił niezmiernie wyraz jego twarzyczki ożywionój, zaciekawionój, rozjaśnionój blaskami ogniska. I ja także z zajęciem patrzyłam na te bryły żelazne, rozpalone na czerwono, które urabiano z taką łatwością, jak grudki gliny, a widok iskier, wylatujących z ogniska, wydawał mi się prześliczny. Nawet jednostajny, miarowy odgłos młotów, uderzających o kowadło, dziwny miał dla mnie urok, a braciszek mój, który miał zawsze ucho niezmiernie muzykalne, przy-

słuchiwał mu się w uroczystém milczeniu. Do dziś nie mogę zapomnieć przyjemnych godzin, spędzanych w tój kuźni.

Pewnego rana siedzieliśmy tam zwyczajem swoim, przyglądając się robocie, gdy wszedł niespodzianie dziedzic. Nieraz wprawdzie spotykaliśmy go w warsztatach, i zawsze nas pozdrawiał uprzejmie, rzadko jednak z nami rozmawiał, bo był niezmiernie zajęty. Lubiałam patrzeć na niego, gdy przechodził pomiędzy robotnikami; obecność jego dziwne na nich wywierała wrażenie, każdy na sam widok dziedzica zdawał się ożywiać, przychylnosc, ufność malowała się we wszystkich oczach, a jeśli kto miał jakiś kłopot, zmartwienie, jeśli się czuł chory, natychmiast udawał się o radę do niego i każdy odchodził pocieszony.

Dnia tego dziedzic zatrzymał się dłużej w kuźni, wziął młot do ręki i wyrobił gwoźdź z żelaznego pręcika. Był on bardzo zręczny i często wykonywał różne drobne roboty w warsztatach. Uważałam, że robotnicy z wielką przyjemnością na to patrzyli. Gdy młot odłożył, zbliżył się do Janka i wziął go na ręce, a widocznie przyzwyczajony był do noszenia małych chłopczyków.

— Powiedz mi, mój przyjacielu — rzekł — czy nie miałbyś ochoty zapoznać się z moimi chłopakami i pójść z nimi na jarmark do miasteczka? Przybyła tam podobno menażerya, będą pokazywać różne dzikie zwierzęta a to rzecz ciekawa, nieprawdaż? Moglibyście pójść oboje — dodał zwracając się do mnie — czy zgoda? Moja dziaćwa się tam wybiera.

— O, dobrze, dobrze! — zawołał Janek uszczęśliwiony — chodźmy zobaczyć te zwierzęta. Może tam jest tygrys, a może i słoń. Tata polował na tygrysy w Indyach i jeździł na słoniu. Emilciu, prawda, że ty chcesz także pójść?

Muszę wyznać, że nadzieja nowój rozrywki ucieszyła mię prawie tak, jak Janka. Polubiłam też niezmiernie tego pocziwego dziedzica, który był taki dobry dla nas i chętnieby z nim była poszła na koniec świata. Nie wątpiłam, że pokocham także i jego żonę, i dzieci. Nierozsądne wyobrażenia, które mię trapiły przedtem, zanim się wychyliłam na świat Boży z samotnego mieszkanka wuja Rubena, zupełnie mi już teraz wywietrzały z głowy. Nie wstydziłam się wcale, że przebywam w ubogim domku, lecz rada byłam tój sposobności zbliżenia się do ludzi wykształconych, nmiałam bowiem cenić dobre towarzystwo.

Rodzina dziedzica przyjęła nas z największą uprzejmością. Posłano do wuja, ażeby nie był o nas niespokojny, jeżeli się opóźnimy z powrotem. Zasiadliśmy wszyscy do podwieczorku przy stoliku, suto zastawionym. Pierwszy to raz w życiu znajdo-

wałam się wśród rodzinnego kółka i dziwnego doznałam uczucia. Ludzie oswojeni z tēn szczęściem, nie są w stanie zrozumieć, jak smutne jest sieroctwo i opuszczenie.

Nigdy nie zapomnę tēj rozkosznej herbaty. Stolik był długi, bo też obsiadła go liczna gromadka. Najmłodsza dziecina, nie mająca jeszcze roku, siedziała na kolanach matki, która sobie z nią rady dać nie mogła przy nalewaniu herbaty, bo co chwila chciała rączki maczać w wodzie wrzącej. Najstarsza córeczka miała taką poważną minę, jak gdyby się uważała za dorosłą osobę. Pomiędzy nią i ową malutką siedziało kilku chłopczków większych i mniejszych, ubranych jednakowo, których w żaden sposób rozróżnić nie umiałam, ani spamiętać ich imion. Raz po raz myliłam się, mówiąc do nich, ku wielkiej ucieśce całej gromadki. Zona dziedzica traktowała mię tak serdecznie, jakgdybyśmy się znały oddawna, a na Janka spoglądała z wielką czułością; tak zwykle dobre mateczki patrzą na sierotki. Sama mu nasmarowała bułeczkę świeżutkiem masłem, dołała śmietanki do herbaty, a do mnie powiedziała półgłosem:

— Moja droga panno Emilio, trzeba, żeby ten chłopczyk był jaknajczęściej na świeżem powietrzu i miał dużo ruchu, to go wzmocni.

Wszyscy więc uważali, tak samo, jak Elias, że Janek był wątły i potrzebował wzmocnienia. Serce moje tak się boleśnie ścisnęło niepojętą jakąś trwogą, że mi się jeść odechciało, chociaż stół był zastawiony wybornymi przysmakami.

Po herbacie nastąpiło zamieszanie, wszyscy się wybierali do wyjścia, bo mieli iść i rodzice, i cała gromadka dziatwy, oprócz najmłodszej dzieciny. Mamie jednak widocznie żal było, że ją musi zostawić, i ona, jak się zdawało, z zazdrością patrzyła na przygotowania starszego rodzeństwa do zamierzonej wycieczki. Ojczulek się uśmiechał i ni ztąd ni zowąd opowiadać zaczął, jak to słońce indyjskie zręcznie podnoszą swoją trąbą małe dzieci, a często tak się do nich przywiązują, że nie chcą ich spuścić na ziemię i oddać piastunce. Janek, obeznany z życiem indyjskiem, potwierdził to opowiadanie z powagą doświadczonego człowieka. Małeństwo słuchało z uwagą, potem wyciągnęło rączki do piastunki i w milczeniu dało się wynieść do drugiego pokoju.

Mrok już zapadał, gdyśmy wysiedli z powozu i przeszliśmy pieszo parę ulic miasteczka, ujrzelśmy się na obszernym placu, gdzie stała ogromna buda z menażeryą. Postępowaliśmy długim szeregiem, jakby procesyą, dziedzic szedł na przedzie, niosąc na ręku najmłodszego synka, a był to chłopczyzna szczupły i wątły, dla tego też zapewne

ojciec najwięcej mu okazywał czułości. Na placu tłoczyło się mnóstwo ciekawych, po większej części robotników z warsztatów dziedzica, wszyscy kłaniali mu się z uszanowaniem i przychylnością, a on ich pozdrawiał uprzejmie, prawie do każdego przemawiał choć słówkiem. Niedarmo Elias utrzymywał, że dziedzic znał wszystkich mieszkańców okolicznych i oni go także znali.

Janek szedł przy mnie i trzymał się moją ręką. Chłopczyzna był nieśmiały, dziś wyglądał uszczęśliwiony, a i ja cieszyłam się prawie tak, jak on. Pensyonarki pani Dangerfield chodziły czasem do ogrodu zoologicznego, ale nigdy się tak wybornie nie ubawiłam na tych przechadzkach. Menażeryi nie byłam tak bardzo ciekawa, bo już widziałam nieraz różne dzikie zwierzęta, więc mnie zajmował widok tego ruchu, tych gromadek różnobarwnego tłumu, niewymowną mi także sprawiało radość, że znajdowałam się w towarzystwie osób tak dobrze wychowanych i tak uprzejmym dla mnie. Mały chłopak w obcisłym stroju zielonym stał przed budą i klaskając biczkiem, wykrzykiwał donośnym głosem nazwy wszystkich osobliwych zwierząt, które tu były do widzenia. U wejścia siedziała młoda kobieta blada i mizerna, sprzedająca bilety; zgartywała szybko pieniądze do szufladki ręką uzbrojoną w igłę i napaśtek, a jak tylko miała chwilę swobodną, zaczynała szyć pilnie małą dziecinną sukienkę. Dzieci spoglądały na tę robotę z ciekawością, niejedno wyobrażało sobie zapewne, że to strój przeznaczony dla lwiatka lub tygrysiątka.

Przeszliśmy później przez ciemny korytarzyk, słyszeliśmy klaskania z bicia, różne ryki i wycia, czuliśmy woń właściwą dzikim zwierzętom, woń nie koniecznie przyjemną i weszliśmy nareszcie do sali. Janek zawahał się na progu, gdy ujrzał ogromne klatki żelazne, w których różne drapieżne istoty kręciły się na jednem miejscu, jak szalone, chłopczyzna silniej uczeplił się moją ręką, ale powiedziałam mu, że kto się w Indyach urodził nie powinien się obawiać zwierząt, pochodzących także z tego kraju, zaczął się uśmiechać i śmiało poszedł za innymi.

— Chodźcie, chodźcie, dzieci; wy trzymajcie się przy mamie, Wiluś niech mnie da rękę, a Misia stanie obok Janka i panny Emilii.

Tak rozstawił ten dobry ojczulek swoje gromadkę, nie zapominając też o sierotach. Najmłodszego synka trzymał ciągle na rękach. Śliczny to był chłopczyk, takie miał duże, wyraziste oczki, zdawało mi się, że przypomina troszkę mego Janka, może błądzącą twarzyczką, i wątłą, delikatną postać. Braciszek mój był także za mały, aby mógł dobrze widzieć wszystko, stojąc na ziemi,

więc wzięłam go na ręce, chociaż był trochę za ciężki na moje siły. Spostrzegł to dziedzic; nigdy nie zapomnę wyrazu rozrzewnienia, który błysnął w jego oczach, gdy spojrzał na mnie; wyczytałam tyle współczucia w tym wzroku, że więcej go jeszcze pokochałam w tej chwili. Nie wyrzekł jednak ani słowa, tylko skinął na Eliasza, który stał niedaleko od nas i rzekł:

(d. c. n.).

Zadanie konikowe (Wł. R.).

bie	wiel	śłod	prze	się	tką	ła	nie
tak	a	śni	oj	ko	cież	już	lu
ka	to	się	ło	ich	wa	ma	le
mi	chcia	masz	lecz	kien	się	ma	no
szko	z cie	lasz	za	prze	ło	czko	ci
mi	lu	ma	su	pło	ki	śli	ja
La	wa	bie	tką	czko	a	szczo	mo
fi	przy	le	da	tko	ja	mo	czna

Łamigłówka głoskowa.

Lena — rów — jezioro — ster — nawa. Z tych samych liter ułożyć sześć innych wyrazów, napisać je jeden pod drugim tak, aby pierwsze i ostatnie litery, od góry do dołu odczytane, utworzyły nazwę dwóch planet.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

Łamigłówki zgłoskowe:

Lesław
Upał
Delta
Wallenrod
Igły
Kolos
Kanał
Ostryga
Narew
Dyngus
Relsy
Abner
Terno
Orszak
Wiadro
Ibrahim
Cypel
Zorza.

Ludwik Kondratowicz. — Władysław Syrokomla.

Synonimów:

Miano, Armata, Trzos, Eden, Jasność, Krużyna, Oręż.

MATEJKO.

Odpowiedzi od Redakcyi

Włocław S. w Lubieszowie. Rozwiązanie zagadki historycznej o Kazimierzu Wielkim wybornie napisane i nie mogliśmy odżalować, że nadeszło już po wydrukowaniu naszego, bo bylibyśmy je zamieścili z pewnością. Ponieważ za rozwiązanie tej zagadki nie była wyznaczona żadna nagroda, nie spodziewaliśmy się, że *serdeczna przyjaciółka* naszej redakcyi zechce ją w tym wyręczyć. W każdym razie szczerze dziękujemy za to staranne wypracowanie.

Helence R. w Karolinowie. Łamigłówka nie jest ułożona według prawideł, gdyż litera *j* nie może litery i zastępować; więc wyrazy *Jenikale* i *Jan* są zupełnie niestosowne. Prosimy więc o inną łamigłówkę, bo ta nie będzie drukowana.

Henrysiowi O. w Poznaniu. Nadesłanie rozwiązania naszej „czarodziejskiej sztuczki“ miłą bardzo było niespodzianką dla nas. Obawialiśmy się, czy ta łamigłówka nie będzie za trudna dla naszych czytelników. Kto tak wybornie rozwiązać ją potrafił, powinienby i sam próbować układać zagadki podobne; byłoby to bardzo pożądane dla nas, bo zwykle nadsyłają nam tylko zgłoskowe, z wyrazami do odczytania po obu stronach, a ten rodzaj już strasznie jest pospolity.

Zosi Z w Mińsku. Za ładny liścik dziękujemy; wielką to przyjemność dla nas, że „Wieczory“ z takiem zajęciem są czytane. Bardzo a bardzo prosimy o częstsze i obszerniejsze liściki, a zwłaszcza o wiadomości szczegółowe, co się któremu z czytelników najwięcej podobało. Nr. 27 odesłaliśmy. Zawsze wcześniej upominać się należy, gdyby który Nr. Pisma zaginął. Mamie załączamy ukłony. Dla Mieczysia, który tak lubi podróże, poszukamy nowej zajmującej, o historycznych opowiadaniach dla Kasi i Maryni pamiętamy, a Zosię serdecznie ściskamy za to, że lubi pogadanki przyrodnicze.

Feluni S. w Żytomierzu. O nowych książeczkach napiszemy w przyszłym miesiącu; jak tylko można będzie najwcześniej, aby każdy z kochanych czytelników, który zdaniu naszemu ufa, mógł wybrać stosowną dla siebie. Naprzód już możemy powiedzieć, że gwiazdka tegoroczna przyniesie dużo dobrych książek, i oryginalnych, i tłómaczonych. Będzie w czem wybrać, i dla starszych, i dla młodszych.

Tadziowi J. w Warszawie. Łamigłówki wszystkie trafnie odgadnięte, a synonimy były dosyć trudne. Radziłyśmy, aby kochani czytelnicy nadsyłali nam rozwiązania zagadek nowego rodzaju, które teraz podajemy, bo czasem jesteśmy w obawie, aby nie były za trudne. Prosimy także o układanie łamigłówek według tych nowych wzorów.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



Ochota do nauki.

— Ach, Mamo, co się stało! — wołała Andzia — laleczka, ta śliczna, nowa, wypadła przez okno na podwórze. Pewnie się rozbiła, powalała; niech Mamunia pośle prędytuko Kasie, żeby ją podniosła.

Ale Kasia służąca poszła była po jakieś sprawunki do miasta, kucharka nie mogła odejść od pieca. Biednej Andzi już się na płacz zbierało, a Mama nie bardzo się nad nią użalała, mówiła, że słusznie jest ukarana za nieostrożność, bo nie należało lalki na otwartém oknie zostawiać.

Wtém dzwonek odezwał się w przedpokoju, Mama poszła sama drzwi otworzyć. Na progu stanęła dziewczynka starsza od Andzi, uboga bardzo ubrana, trzymała w ręku piękną lalkę i rzekła:

— To pewnie panienki laleczka, bo z tego okna wypadła. Ja stałam na dziedzińcu i podniosłam ją, a matula kazała zaraz odnieść.

— O, dziękuję, dziękuję—zawołała Andzia uradowana—nie rozbiła się i nawet nie powalała. Bardzo ty jesteś grzeczna, moja dziewczynko, żeś mi odniosła moję laleczkę. Ale jakże ty się nazywasz?

— Nazywam się Basia, ja tu mieszkam z matulą w izdebce na dole, na końcu podwórza.

— A, toś ty córeczka Marcinowej—powiedziała Mama Andzi.

Marcinowa była to uboga wyrobnica, Mama dawała jej parę razy jakąś robotę i wiedziała, że jest bardzo uczciwa.

— Ja także dziękuję ci za moją córeczkę—mówiła dalej Mama — chciałabym ci tę grzeczność czemś wynagrodzić. Powiedz, co by ci największą zrobiło przyjemność; czy chciałabyś dostać ładną wstążeczkę kolorową, czy koraliki, czy chusteczkę?

Dziewczynka zarumieniała się z radości, ale nic nie mówiła, tylko się uśmiechała, spuszczywszy oczki.

— No, powiedz, powiedz—mówiła Andzia — moja Mama taka dobra, kupi ci, co zechcesz.

Basia nakoniec podniosła oczki i rzekła cichutko:

— Jabym tak chciała mieć elementarz...

— Elementarz! — powtórzyła Andzia zdziwiona—to ty nie umiesz jeszcze czytać?

— Znam już wszystkie litery — odrzekła Basia—matula uczyła mnie co niedziela; ale mały Janek bawił się elementarzem i wrzucił go przez swawolę w ogień, a teraz matula ma tak mało pieniędzy i nie kupiła jeszcze drugiego...

— Ależ ja ci dam śliczny elementarz z obrazkami, i książeczkę do czytania; wszak Mama pozwoli? — mówiła Andzia.

Mama pozwoliła, a Basia uszczęśliwiona była ślicznymi książeczkami.

— O, żebyż to prędzej była niedziela! — zawołała.

— Ale czemuż ty tylko w niedzielę się uczysz?—pytała Andzia—toż ja właśnie w niedzielę nie robię lekcyj.

— Bo matula nie ma czasu mnie uczyć w dni powszednie, musi szyć, i prac, i gotować, bo tatulo przychodzi zawsze bardzo głodny wieczorem z roboty.

Gdy odeszła Basia, nasza Andzia nie mogła zapomnieć o tém wszystkiém, co słyszała i raz po raz zaczynała z Mamą rozmowę o tej biednej dziewczynce, co tak lubiła książeczki.

— Moja Mamo—powiedziała nakoniec — co by to zrobić, żeby ta Basia mogła się uczyć codziennie?

— Musimy coś na to poradzić — odrzekła Mama z uśmiechem — jak myślisz, czy ty nie potrafiłabyś jej uczyć? wszak umiesz już dobrze czytać.

— O, Mamo, potrafiłabym z pewnością.

— No to dobrze, pójdziemy jutro do Mar-

cinowej, poprosimy, żeby pozwoliła Basi przychodzić do nas na naukę.

Nazajutrz Mama z Andzią i ze starszym jej braciszkiem Kaziem poszła do mieszkania Marcinowej. Kazio był w szkole, gdy lalka przez okno wypadła, ale siostrzyczka opowiedziała mu całe to zdarzenie, więc ciekawy był także zobaczyć Basię. Mama wzięła z sobą koszyk napelniony bułkami i jabłuszkami dla tych ubogich dzieci, Andzia niosła także paczkę z różnemi przysmaczkami. Zastali Marcinową przy robocie, Basia trzymała na ręku malutką swoją siostrzyczkę, a braciszek jej Janek, ten, co to spalił był elementarz, siedział na ziemi i bawił się trzaseczkami.

Marcinowa podziękowała bardzo dobrej pani za podarunki, a więcej jeszcze za to, że chciała uczyć Basię. A Basia tak się ucieszyła, tak serdecznie całowała ręce Mamy Andzi i swojej matki. Odtąd codziennie, jak tylko maleńka jej siostrzyczka zasnęła w kołysce, Basia biegła na górę do Andzi z elementarzem w ręku. Uczyła się tak pilnie i gorliwie, że prędko bardzo zaczęła płynnie czytać.

Przykład tej ubogiej dziewczynki był bardzo korzystny dla Andzi. Dawniej nieraz bywała troszkę leniwa do nauki, wypraszała się od lekcyj; ale teraz zawsze sobie przypominała, jak Basia zapytana, czy chce wstążeczkę, koralików, czy ładnej chusteczki, prosiła o elementarz.

MRÓWKA I PSZCZOŁA.

B a j k a.

W jesiennę porze, gdy straszna nawała
Całe zniszczyła mrowisko,

I jak wieść niesie, dwa tysiące blisko
Mrowiego ludu zalała;

Jedna z nich biedna, płynąc przez czas długi
Na drobnej słonce, jakby Noe drugi,

Gdzieś się tam na brzeg wywlokła,
A szczęsnym pszczołkę napotkawszy losem,
Zziębła, drżąca, głodna, zmokła,
Takim zapłakała głosem:

— Posil mnie, posil, pszczołko dobra, tkliwa,
Patrz, jak jestem nieszczęśliwa,
Nie mam i jutra czém dożyć.
Nikt na litości nie traci,
Niebo ją stokroć odplaci,
A i ty możesz zubożeć.

Wesprę cię wówczas, jak ty mnie w tej dobie
Bo jak ty drugim, tak i drudzy tobie.

— Wymowną jesteś—pszczołka jej odpowie,

— Lecz kiedy taka boleść cię przenika,
Przypomnij sobie owego konika,
Co także w pięknej wymowie
Twój się litości domagał;
Wszak o ziarnko tylko błagał,
A ty nie tylko, żeś mu nic nie dała,
Jeszcześ mu skakać kazała.

* * *

Mrówka się łzami w swym zalewa wstydzie,
Zawraca, milczy i na śmierć już idzie.

A wtém z natury swój pocziwa pszczoła

Tak ją odwoła:

— Wróć, wróć, nie chciałam z twojej szydzić
[biedy,

Przybliż się, zasil w potrzebie;

Lecz jeśli znowu z bogacisz się kiedy,

A nędzarz przyjdzie do ciebie,

O niechże prośbą nie błaga daremną,

Nie gardź tą niebios przestrogą,

Pomnij, jak sama płakałaś przedemną,

I także byłaś ubogą.

Franciszek Morawski.

ROZTROPNA ŻOLKA.

Żolka była śliczna psina pinczerka, ulubiona swojej małej panienki, Brońci. Bardzo często, gdy Brońcia nie miała czasu iść na przechadzkę z ojcem, prosiła go, żeby chociaż kochaną Żolkę wziął z sobą, ażeby się przeszła po świeżem powietrzu, dla zdrowia.

Raz zdarzyło się, że przed świętami wielkonoconemi ojciec sam chciał pójść ze służącą po mąkę do sklepu, gdy Mama z Brońcią zajęte były pieczeniem bab. Brońcia co prawda obierała tylko i oczyszczała rodzynki, migdały, cykatę i skórkę pomarańczową smażoną krajała ostrożnie, żeby sobie paluszków nie okaleczyć, a Mama baby piekła. Mama nie chciała już nic więcej piec nad to, co od razu zamierzyła i na co wysuszyła sobie mąkę, ale ojciec koniecznie prosił, żeby Mama upiekła jeszcze parę tak zwanych jajeczników, i dowiedziawszy się, że niema na nie mąki, poszedł sam po mąkę ze służącą.

— Proszę Ojca—rzecze Brońcia—kiedy już Ojciec idzie po mąkę, niech też Ojciec będzie łaskaw Żolkę wziąć z sobą, aby się przeszła dla zdrowia, kiedy ja jestem tak zajęta gospodarstwem, że wyjść z nią w żaden sposób nie mogę!

Ojciec widział, że Brońcia miała słuszość,

że istotnie, choć nie w wielkich rzeczach, pomagała jednak Mamie, lubił też małą i mądrą Żolkę, i widział, że Brońcia ma słuszość dbając o pieska, więc zawołał Żolki i poszedł z nią i ze służącą do sklepu.

Zaszedłszy tam, kupił co było potrzeba, wyszedł z Gościnnego-Dworu, i dopiero wchodząc do Saskiego ogrodu, gdy służącą ztamtąd do domu odsyłał, spostrzegł, że Żolki niema. Jak zwykle przed świętami, ludzi za Żelazną-bramą było bardzo dużo, psina maleńka biedaczka mogła bardzo łatwo się zabłąkać, ojciec Brońci doskonale to wiedział i rzekł do służącej:

— Idź ty, Marysiu, do domu ze sprawunkami, bo pani na nie czeka, a ja pójdę szukać Żolki, bo jakby nam zginęła, to Brońcia zamartwiłaby się chyba.

Poszła więc Marysia do domu, ale że pan jej milczenia nie nakazał, przeto wygadała wszystko. Brońcia załamała ręce, i już o mało nie rozplakała się ze zmartwienia, a wtém ojciec wchodzi, a za nim Żolka!...

Brońcia o mało znów zmysłów nie straciła z radości a i Żolka także. Tak się łąsiła, tak pełzała, tak skakała, i piszczała na wszystkie swoje sposoby, że widocznie doskonale rozumiała, o co chodziło.

Pokazało się, że ojciec po namyśle, znając roztropność Żolki, i rachując na jej pamięć i węch, postanowił wracać do domu zupełnie krok w krok tą samą drogą, którą szedł do miasta. I otóż stało się, że ojciec, jako doświadczony człowiek, miał słuszość, bo doszedłszy do sklepu z mąką, zobaczył Żolkę, która siedziała sobie spokojnie przed tym sklepem, myśląc zapewne, że życzliwi ludzie będą jej szukać na tej samej drodze, na której zginęła. Zobaczywszy pana, uradowała się tak serdecznie, że mu prawie do szyi skakała, pomimo że była taka maleńka, jak trzy piąstki.

Tak tedy z powodu swojej mądrej Żolki nie miała Brońcia zmartwienia, i odtąd jeszcze bardziej psinę pokochała.

Z postąpienia Żolki w tém zdarzeniu mogą też nawet dzieci brać przykład, że zabłąkawszy się przypadkiem trzeba zatrzymać się w miejscu i czekać, aż starsi wrócą po zabłąkane dziecko, nie zaś biegać w różne strony. Gdyby Żolka biegła pomiędzy ludźmi, zamiast czekać spokojnie przed sklepem, byłaby z pewnością na dobre zginęła.

WISIENKA.

(naśladowane).

(Dokończenie).

Wróbelkę ucieszył się bardzo i ślicznie mi podziękował.

Ach! żeby nie ten niezdolny listek, myślałam sobie, jużbym pewnie była prześlizniona, rumiana. Nic mu jednak nie mówiłam, bo czegoś pobladł bardzo, musiał być chory. Pewnego rana przebudziłam się i uczułam, że mi cieplej daleko, niż zwykle, spojrzałam dokoła, nie było już przy mnie tego liścia, co mi promienie słoneczne zasłaniał; zwiądnął zupełnie w nocy i opadł. Litowałam się nad biednym listeczkiem, ale go żałować nie mogłam, bo mi bardzo zawadzał za życia.

Zapomniałam opowiedzieć o korzeniach mojej mateczki; ma ona ich mnóstwo, jedne są duże, grube, a inne cieniutkie, malutkie. Dziwnie to musi wyglądać, ale ja tego nigdy nie zobaczę, bo wszystkie te korzenie ukryte są pod ziemią. Zdaje mi się, że mateczka żywi się korzeniami. Nie wiem na pewno, co ona tam ma do jedzenia pod ziemią, powiadają, że pije wodę deszczową, a w tej wodzie rozpuszczają się różne minerały, które grunt w sobie zawiera. Ale musi tam mateczka znajdować pokarm obfity, bo jakżeby inaczej żyć mogła? Tej wiosny pewnie sobie porządnie podjadała, skoro w przeciągu jednego tygodnia pokryła się całą liśćmi i kwiatami. Prawda, że za to całą zimę wypoczywała.

Minęło dwa tygodnie od rozmowy mojej z wróbelką, przez ten czas zarumieniłam się ślicznie i wszystkie moje siostrzyczki dojrzały także. Przyszedł ogrodnik, przystawił dużą drabinę do wiśni, mojej mateczki i zaczął zrywać wisienki. Napełnił nimi dwa duże kosze, a niektóre brał do ust i połykał. Patrzałam na to z przerażeniem i ubolewałam nad smutnym losem moich siostrzyczek.

O siebie jednak byłam spokojna, siedziałam tak wysoko na malutkiej gałązce, że chyba ptaszek mógł mnie tam dojrzeć. Nie żałowałam wcale obietnicy, daniej wróbelkowi i szczerze postanowiłam jej dotrzymać, ale miałam wielką ochotę do życia, dzień i noc myślałam o tym, jakby się od śmierci uchronić.

— Mój drogi przyjacielu — rzekłam raz do wróbelki — czuję, że jestem zupełnie dojrzała i jeśli masz ochotę mnie zjeść, to się nie będę broniła, ani wymawiała. Ale mam do ciebie,

wróbelku, wielką prośbę. Smutnoby mi było zginąć i nic po sobie nie zostawić. Ty z pewnością nie będziesz jadł twardej mojej pestki, a ja wiem, że ona ma w sobie coś takiego, co ożyć może. Proszę cię, weź tę pestkę i posadź ją tu w owocowym ogrodzie.

— Z największą chęcią — odrzekł wróbel — nie posadzę cię na trawniku, bo kosarze mogliby ściąć młodziutką latorośl razem z trawką; ale jest tu wyborny kącik pod samym płotem, tam ci będzie bardzo wygodnie i bezpiecznie.

— O, dobrze, dobrze!

I mała wisienka podała rumiane swoje policzki wróbelkowi, on je spożył z wielkim smakiem, potem wziął pestkę w dziobek i zasadził ją pod płotem. Roślina zamknięta w pestce czeka cierpliwie, aż ją deszczyk i słońce wydobędzie z pod ziemi; wróbelkę codziennie tam przylata i skacze pod płotem, wygląda zapewne przyjscia na świat młodziutkiej wisienki.

Zagadka.

Co to są za ptaki, tak samo nazwane,
Jak to, z czego bańki puszczacie mydlane?

Lamigłówka kryształowa zoologiczna.

1. Litera
2. Owad
3.
4. Skorupiak
5. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę dużego ptaka brodzącego.

Rozwiązania do Nr. 44-go

Zagadki:

Sowa.

Lamigłówki kryształowej:

			H			
		P	A	S		
	P	U	D	Ł	O	
H	A	D	R	Y	A	N
	S	Z	Y	N	Y	
		S	A	S		
			N			